№ 46.

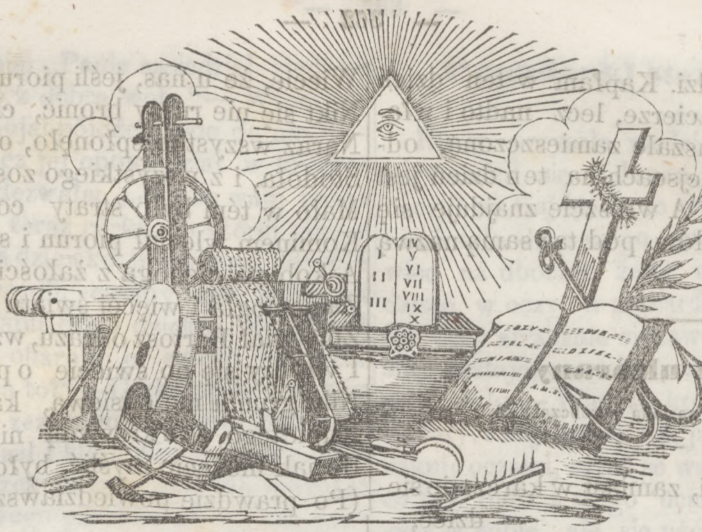
Warszawa

Dnia 4 (16) Listopada

1856.

Niedziela

27ma PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Daj prosimy Cię Wszechmogący Boże! ażebyśmy święte i roztropne myśli mając, co się Tobie podoba, i słowy i uczynki wykonywali. (Modlitwa kościelna na niedzielę 27 po-Świątkach).

Matka Boska Skierniewicka.

Kiedy Turcy pod dowództwem Osmana wodza swojego, zabrawszy wielką liczbę wojska z różnych części świata nieoświeconych ludów, zagrozili wszystkim chrześcijańskim krajom, i naszą najechali byli ojczyznę; natenczas roku 1621 Zygmunt III król Polski wezwawszy pomocy Boskiéj i poleciwszy tę sprawę Opiece Najświętszéj Maryi Panny, udał się przeciwko nim z wojskiem swojem na odsiecz, a rządy Państwa powierzył Wawrzyńcowi Gębickiemu Arcybiskupowi gnieznieńskiemu, w mieście Skierniewicach mieszkającemu.

Wierny swemu monarsze, a gorliwy o dobro kraju Pasterz, polecił w całem państwie odprawiać błagalne modły, sam też nieustannie modlił się do Matki Boskiéj. Wtem jednéj nocy w czasie modlitwy zobaczył oknem z pałacu skierniewickiego w ogrodzie, na lipie, Najświętszą Pannę stojącą na półksiężycu w ostatniéj kwadrze będącym; i te wyraźnie od niéj usłyszał słowa: Nie lękaj się, Syn mój to nieszczęście odwróci. Pocieszony tą przepowiednią, zaraz nazajutrz rano odprawił dziękczynne nabożeństwo, a wkrótce doszła do wszystkich narodów wiadomość, że następnego dnia, to jest 10 Października 1626 roku Turcy zwyciężeni zostali pod Chocimem.

Wdzięczny za taką łaskę Boską, arcybiskup kazał odmalować Matkę Bożą tak, jak mu była ukazała się, a nadto zgodnie z życzeniem króla i ziomków uzyskał od ojca św. Grzegorza XV pozwolenie obchodzenia tego dnia uroczyście.

Późniéj zaś Władysław IV Król, syn Zygmunta, który już znajdował się na téj wojnie, uprosił Urbana VIII papieża, aby kapłani polscy obowiązani byli tegoż dnia odmawiać stosowne pacierze kapłańskie.

Gdzie się podział obraz z woli X. Gębickiego odmalowany? nie wiadomo. Znajduje się tylko teraz w m. Skierniewicach przy kościele na cmentarzu duża i piękna statua Matki Boskiéj, na tę pamiątkę wystawiona. Sześciu tamecznych mieszkańców z swéj posiadłości mają obowiązek utrzymywania jéj i ciągłego oświetlania. Co noc też przed Nią lampa goreje.

Z téj więc przyczyny, kościół Polski dzień 11 października pod nazwą Zwycięztwo

nad Turkami obchodzi. Kapłani w ten dzień nietylko stosowne pacierze, lecz nadto i właściwą mszą Ś. w mszale zamieszczoną, odprawiają. W wielu miejscach na ten dzień jest ustanowiony odpust. A wreszcie znajduje się w Polsce kilka kościołów, pod tąż samą nazwą wystawionych.

Bartosz ukarany.

(Opowiadania jego sąsiada parobczakom).

Poczekajcie chłopaki, zamiast w karczmie siedzieć,
Posłuchajcie mię trochę, dobrze wam co wiedzieć;
Powiem dziś o Bartosie, co tu żył przed laty,
Na grosz był nieużyty, chociaż człek bogaty.
Bartosz, miał to domostwo co to pustką stoi,
Grunt co leży odłogiem wedle roli mojéj,
Miał koniki jak wałki, podostatkiem chleba,
Trzodę, woły i pszczoły, ba!.. co ino trzeba!
Miał żonę, miał i syna chłopaka tęgiego,
Jankornego, sprytnego, lecz trochę hardego,
Bo już żyłka ojcowska dostała się jemu,
Że z drogi nie ustąpił choćby najstarszemu.
Ale zresztą był chłopak daj nam takich Boże,
Umiał się z książki modlić, popracować może,
Na weselu, kiej drużba, a sunie raźnego,
Baby gębę otworzą i patrzą na niego.
Cudeńka dokazywał! a gdy zacznie sztuki,
Myślałbyś że za morze chodził po nauki.
Chłopak to do wszystkiego, a jak orze, włóczy,
Chociaż to od młodego, stary się nauczy.
Cieszył się Bartosz synem i zhardział po uszy,
A do ludzi mamrotał kieby niemiec kusy.
Gdy przyszedł do kościoła, już świece gasili,
I nie zmówił Zdrowaśki, gdy wieczór dzwonili;
Dziadkowi kościelnemu nie dał nigdy grosza,
A jeżeli syn dawał, to patrzył z ukosa.
Raz, było to z wieczora, siedział on na chłodzie,
Dziad przyszedł, a ten woła poszedł ty narodzie!
(Bo i klął aż strach słuchać), poszedł dziadowina
I zapłakał, bo głodny, a pusta torbina.
Wieczór nadszedł, i chmury stanęły na niebie,
Żeś człowieku nie widział płota wedle siebie.
Jak ci potem nie zagrzmi, jak ci piorun trzaśnie,
Patrzę, i dom Bartosza już w płomieniach właśnie.
Wiecie, że u nas, jeśli piorun co zapali,
Nikt się nie ruszy bronić, choćby we stu stali.
Naraz wszystko spłonęło, obora, dobytek,
Stodoła, i z wszystkiego został mu się kwitek!
Mało w tém było straty co ogień zagrabił,
Kominem wleciał piorun i syna mu zabił.
A kobieta nieboga z żałości zmarniała,
Zaniemogła i więcéj światu nie ujrzała.
Zbiedniał Bartosz odrazu, wziął torby na siebie,
I włóczy się po świecie o proszonym chlebie.
Nikt gruntu nie obsiewa, każdy z nas się boi
Kupić tego, co z krzywdą nieszczęśliwych stoi:
Bo jak możecie myślić, było u Bartosza
(Po prawdzie powiedziawszy) dość cudzego grosza.
Tak to moi kochani—kto komu dopiecze,
Biednego nie posili, ten w Bożéj opiece
Niebardzo dobrze stoi, choć czasem w dostatku,
Prędko może iść z dymem, torbę wziąć w dodatku.

Niegdyś a teraz.

(Obrazek z życia staropolskiego).

Przed kilkuset laty było u nas zwyczajem, iż śluby małżeńskie tylko w dojrzałym wieku zawierano; kawaler pilnował obozu do lat 35, panna zaś kądzieli do lat 28. Upatrzywszy młodzian pannę, którą poślubić umyślił, oznajmił to ojcu swemu, a ten przyzwał do siebie mównego dziewosłęba (starostę) i prosił go o pomoc.—Wsiadłszy ów na konia, pojechał do wskazanego dworu. Na dziedzińcu już zsiadłszy z bieguna, za uzdę go przytrzymał, do okna zbliżył się, zapukał, wołając: „Pan Paweł z Wierzbowa, mile Waszmość pozdrawia, i radby wiedział, czy Waszmość na to pozwoli, o co on się przezemnie pytać będzie?“—Na to pan Piotr z Rzegowa odpowiedział: „Słucham panie sąsiedzie!“ „Oto pan Paweł ma parobka, już mu się do 40 lat zabiera, a słyszał, że Waszmość masz dziewkę już także dorosłą, a zatem jeżelibyś Waszmość pozwolił, toby się pobrali.“— „Wstąpcie jeno do nas, odrzekł gospodarz, to o tem pomówimy.“—Dziewosłąb uwiązał konia u kółka przy oknie, przygładził czuprynę czapką, podkręcił wąsa i wszedł do izby, gdzie zastał już stół nakryty, a na nim sól i chleb na talerzu. Pier-

wsze było powitanie: „Panie sąsiedzie! zjedzcie chleba z solą, jeno z dobrą wolą.“— Wtem zawołał na żonę: „Moja! pójdźcie jeno do nas.“— Gdy przyszła, rzecz jéj opowiedział w krótkości, na co ona się odezwała: „Jak się wam panie widzi.“ Zawołano teraz córki, do któréj tak się ozwał ojciec: „Moja dziewko, jużeście się dosyć u nas kądzieli naprzędli, czasby też wyjść na swój chleb; a to Panu Bogu dziękuj, że sąsiad nasz pan Paweł ofiaruje ci swego parobka. Jakże, zezwalasz na to?“—Córka upadła do nóg rodzicom na znak zezwolenia. Dziewosłąb nasypawszy teraz pereł i klejnotów w czapkę, wysypał je w fartuszek pannie młodéj, mówiąc: „Pan Paweł od swego parobka na ten dar prosi, przyjm Wmć wdzięcznie, aż się o więcéj postara.“ Ojciec wtem odpowiedział dziewosłębowi: „Powiedźcie panu Pawłowi, że za trzy niedziele będzie wesele. Niech pan młody sprowadzi z sobą skrzypków, ja téż każe cielątko, kurkę jednę i drugą zabić, nasycić miodu, i tak wespół cieszyć się będziemy.

Teraz zmieniły się te obyczaje, zmieniły nawet co do szczegółowych drobnostek. Tak np. znalazł potomek owego pana Pawła z Wieczbowa w papierach familijnych następującą notatę. Jego prapradziad w r. 1687 miał do ślubu żupan biały lity, bekeszę aksamitną zieloną, obłożoną łapami rysiemi, guzy rubinowe i kołpak soboli. Pradziad w roku 1714 żupan morowy seledynowy, ferezyę papuzią, pas z klamrą srebrną, czapkę adamaszkową z wypustką sobolową. Dziad w 1760 miał żupan atłasowy pąsowy, kontusz sajetowy koloru perłowego, pas turecki, bóty żółte, czapkę białą z barankiem. Ojciec r. 1788 miał czamarę granatową z potrzebami srebrnemi, pas słucki, mankiety u rękawów koszuli, czapkę gredytorową z denkiem jedwabnem. Syn r. 1808 nosił frak szafirowy, spodnie, kamizelkę i pończochy białe, kapelusz spłaszczony.— Wesele prapradziada trwało tydzień, wyszło nań wina beczek 10; pradziada pięć dni, beczek wina 7; dziada trzy dni, wina beczka 1; ojca 24 godzin, wina 100 butelek; syna zaś trwało wieczór tylko, wypito parę szampanów przy cukrowéj kolacyi.

Pogadanki starego rolnika.

—

Kiedy przyszła niedziela i ludowina znowu zgromadził się u Janka, Bąbała strasznie się boczył na Gajdę, co to wtedy przy gadce o koniach tyle się z niego nawykpiwał. — Siedział więc na uboczu, żeby niby nie włazić ludziom w oczy, a najbardziej Gajdzie; ale ludzkie oczy strasznie ciekawe, a w pamięci wszystko zostaje, co ta śmieszność kiedy człowiekowi zrobiło.— Więc co który przechodził wedle Bąbały, i dojrzał, że ten jakoś nieśmiało ino boczkuje oczami, zaraz se wspomniał jego karego, co tyle było z niego uciechy, i choć pocichu i sam w sobie, ale się uśmiechnął.—Bąbała jakoś to pomiarkował, i strasznie pomarkotniał, ale i Gajdzie jako poczciwemu człowiekowi także się smutno zrobiło, bo to niema żadnéj przyjemności być uciechą dla ludzi; więc wspomniawszy sobie— „że co tobie niemiłe, nie czyń drugiemu“— przybliżył się do Bąbały, i rzekł:

—„Sąsiedzie! dajcie no rękę i nie miejcie do mnie złego serca, bo słowo, to wiatr, choć kole i boli, aby ino nie do krwi i z uciechą dla ludzi, to fracha.— Ja wam przygryzłem, wy znowu mnie, i jużcić, a choć w przygryzieniu trocha prowizy wam nie żałowałem, zawdy mam do was jedno serce, toć i wy swego dla mnie nie zamykajcie, mój sąsiedzie.“

I to rzekłszy, zaczął Bąbała całować, ściskać, molestować jakby ta Bog wie nie jak był zawinił.— Bąbała już się nie wagował z przeproszeniem, wyciągnął rękę, przycisnął Gajdę do piersi, poczciwe całowanie oddał za całowanie, potem chciał coś pomówić, ale mu ino wargi zadrżały, machnął ręką, i otarł oczy, bo mu się łzy w obudwóch pokazały.

I cicho się w izbie zrobiło, boć ludziska co patrzyli na to, także nie kamienie, a dla poczciwych łzy, to jak jaka zaraza, co duchem łzy do oczów przygania.— Kiedy się tak wszystko z przyjaźnią poszykowało, wtedy odezwał się Janek.

—„Moi sąsiedzi! bardzom wam rad, że tak po chrześciańsku wszystko poczynacie, bo człowiek zwyczajnie jak grzeszne stworzenie, może czasem zawinić, lub komu co zrobić na despekt, ale ino człowiek, i to co ma Boga w sercu, będzie żałował tego, co zrobił jak nie wypada.— Więc rad jestem waszemu pogodzeniu, a to tém bardziej, że w tem wszystkiem więcéj było śmie-

chu jak dogryzienia, a że prawdę jeden drugiemu powiedział, to fracha! poprawta się i jużcić.

—„A jużcić—a jużcić“— potwierdzili dokoła, i gwarnie wszyscy poczęli z sobą rozmawiać. Kiedy się wygadali, znowu się wszyscy ucieszyli, bo wiedzieli, że się zeszli nie na gawędę, ino na posłuchanie mądréj Janka gadki, a ten po chwili tak zaczął mówić:

—„Moi sąsiedzi! kiedyśwa tamtéj niedzieli rozgadywali się o koniach, to nie mogliście się nadziwić, ile to tam w tych koniskach rozumu, co nieraz i człowieka przejdą.— Ale jeżeli nie będziecie się wagować posłuchać mnie, to się przekonacie, że ile w nich rozumu, tyle i poczciwości, nikiéj w najpoczciwszym człeku, że się zabacza, iż to nieme bydle, ino się zdaje, że najlepszy człeka przyjaciel. — Ja miałem klacz gniadą nazywała się Wachna. Co to było za bydlę! to Boże mój! dziś prawie płakać mi się chce, jak sobie ją przypomnę.—Ale o niéj popóźniéj wam powiem, a teraz przełożę wam to, co się działo bardzo dawno, i stoi zapisane w starych różnych księgach.

Otóż moi ludzie, bardzo temu dawno, kiedy więcéj było stepów i odłogów, niż uprawnéj ziemi, i stada koni prawie dziko latały po łąkach i pastwiskach, był jeden gospodarz co się nazywał Przybysław, i mieszkał w Krakowskiéj ziemi.— Miał on gospodarstwo i w niem śliczności stadko koni, wedle którego sam chodził, doglądał, ale najlepiéj upodobał sobie gniadego ogiera, bo go wychował od maleńkości nikiéj psiaka, i przezwał go białonóżką dlatego, że tylną jednę nogę miał białą po pęcinę.— Otóż bywało przyszedł do stada na łąkach, to jak ino się odezwał, zaraz białonóżka wychodził, podnosił głowę do góry, chrapami zaczął wietrzyć, i jak poczuł, że to pan jego, zawdy zarżał radośnie; ochotnie wierzgnął w górę nogami, i szust! jużcić przy swoim panie.— To go wtedy Przybysław głaskał, klepał, całował, a on go wąchał dokoła, i szukał chleba po kieszeniach.— W owym czasie nie było moi ludzie, takiego porządku jak dzisiaj, i zawdy każdy musiał się mieć na baczeniu przed nieprzyjacielem; więc Przybysław często z drugimi wychodził na wojnę, i zawdy pod siebie brał białonóżkę, bo powiadał, że jak na nim siedzi, to pewny jest, że mu się nic złego nie zrobi.— Ale udało mu się cosić tak dwa razy, ale za trzecią razą, jak go zaczęli kłuć i rąbać, Przybysław pomiarkowawszy, że wiela złego na jednego, dał raptem w bok, i chlust przez pole do swoich.— Tatary za nim, ale kaj ta kaj, ani rady białonóżkę było zgonić, i jak dopadł równéj drogi, to ino szumiało, ino dudniło, co tak leciał, że wszyscy het, daleko się pozostawali, i wreszcie popowracali do swoich. Ale Przybysławowi poczęła krew ranami uchodzić, bo nie ladajako pogany go pokłuły, trzymał się ta jakiś czas jeszcze na koniu, ale wreszcie przymknął oczy, zsunął się z siodła, i padł jak nieżywy na ziemię, nie mogąc z siebie głosu wydobyć.— Białonóżka choć już luźny, także się zatrzymał, owąchał swego pana na wszystkie strony, jakby chciał zmiarkować, czy żyje jeszcze? a potém podniósł łba do góry, i oglądając się na wszystkie strony, zarżał raz, drugi, i trzeci, jakby chciał kogo zawołać do pomocy.— Kiedy nikt się z ludzi nie pokazywał, poczciwe konisko znowu z wąchaniem do swego pana, i daléj znowu rżyć, i gdy tak cosić kilka razy powtórzył, z lasu, bo to się wszystko stało pod samym lasem, wyszedł pustelnik z długą białą brodą.— Białonóżka jak go zobaczył, tak zarżał radośnie, tak się zaczął cieszyć, że aż Przybysław oczy otworzył.—Pustelnik zwyczajny ludzkiéj nędzy, miał przy sobie różne leki, wziął rannego do swojéj pustelni, wygoił, wylekował, i dopiero po wojnie wypuścił do domu.— Ale w gospodarstwie Przybysław zastał same pustki, gruzy po budynkach, pola zaniszczone, i całe stado koni zabrane tak, że biedaczysko został ino przy ogierze swoim, co go lubował jakby własne dziecko, bo on mu prawie życie uratował, i przy karabeli, co rani i kaleczy a chleba nie daje. Tak co robiący Przybysław zafrasował się strasznie, i w tym żalu, w tém zmartwieniu przysunął się do białonóżki, i rzekł.

—„Oj! ty mój przyjacielu, po co przywołałeś rżeniem pustelnika, bo byłbym już zakończył swój nędzny żywot.—Ogier wyciągnął się, zastrzygł uszami, i groźno spojrzał w swego pana, jakby się gniewał, że zabaczył o Bogu i przestał ufać Jego dobroci.

—„Gniewasz się na mnie?“— mówił daléj Przybysław, a ogier zarżał raz jakby chciał powiedzieć—„tak, gniewam się.“

—„I ty już na mnie?“— znowu odezwał się Przybysław, a ogier trząsnął łbem nikiejby mu mucha usiadła, i liznął swego pana po ręku, niby chcąc mu powiedzieć, że zawdy dla niego z

jedną jest przyjaźnią. Wtedy Przybysław widząc w tem wszystkiem tak dziwne składanie się, że z koniem swym zupełnie jak gdyby się rozgadywał, rozrzewnił się w sercu, zdjął czapkę z głowy, i padając na kolana, zawołał wznosząc ręce do nieba:

—„Ojcze i Panie wszechmocny! który nie zapominasz o najmniejszym robaczku, ratuj mnie i wspomóż.“ Zaledwie te słowa wymówił, mój białonóżka jak nie skoczy, jak nie bryznie pośledniemi nogami, jak nie zacznie różne wyrabiać szprynce, to skakać, to przysiadać na ziemi nikiéj pies, to znów rżeći przypadać do swego pana, że aż Przybysław rozweselił się, i nabrał otuchy, że przy pracy i modleniu się Bóg go wesprze i nie opuści.—Jakoż od tego czasu już Przybysław nie desperował, zabrał się do pracy, do orania roli, do siewu, do ściągania z lasu materjału na nowe budowle, w czem wszystkiem ogier był mu prawą ręką, bo choć koń nienałożony był do takich robót, ale równie wszystko nim robiłPrzybysław.—I przez to wszystko koń z człekiem stali się jakby jedność, i tak nawykli do siebie, że Przybysław ani na krok nie odstąpił białonóżki, a jeżeli czasem bez jaki czas nie widzieli się z sobą, to potem jak się zobaczyli, z uciechy ledwo się nie pozagubiali, bo koń rżał i rżał, lizał po rękach i owąchiwał swego pana, a ten klepał go, głaskał, całował, przykładał głowę do mordy, i przyciskał do piersi, obejmując za szyję.—Ludzie znali to wszystko, i strasznie zazdrościli mu takiego konia, bo to i piękny był i robotny. I raz jak się Przybysław zeszedł z jednym z sąsiadów, jak zaczęli przypominać stare dzieje a popijać miodem, bo wtedy jeszcze téj nieszczęśliwéj gorzałki nie było, tak naciągnął więcéj jak wypada i do domu nie wrócił, aż dopiero z rana.— Biegł szybko i z wielką niespokojnością, bo przeczuwał, że go czeka jakieś nieszczęście, a jak zobaczył drzwi od stajni wyważone, zadrżał, przystanął, i zawołał żałośnie:

—„Koniku mój, koniku kochany, czyś chory, co się nie odzywasz?

Ale wedle stajni cicho było i pusto, ino czasem drzwi zaskrzypiały od wiatru, co wisiały na jednéj zawiasie.—Przybysławowi aż się włosy na głowie najeżyły, oczy stanęły kołem, serce zadrgało; wpadł do stajni, i omało nie zemdlał.... stajnia była pusta.— Cały potem dzień zeszedł mu na szukaniu to po lesie, to po polu, po pastwisku, ale o koniu ani widu ani słychu, przepadł jak kamień w wodę, i jak zaczął rozważać, tak poznał, że mu ogiera skradziono.

Oj! ciężka też potem była dola Przybysława, bo przez wojnę stracił żonę, stracił dziatki, całe mienie, zdrowie, postarzał się, posiwiał, przygarbił, i wreszcie stracił takie poczciwe bydlę, co prawie było mu drugim przyjacielem i pomocnikiem we wszystkich robotach.—Strasznie więc posmutniał, a jak sobie wspomniał wszystko z dawności, tak często choć staremu łzy pociekły po twarzy; bo czuł, że se żadnéj nie da rady, i na stare lata czeka go nędza, a może i kij żebraczy.—Często więc siadał pod krzyżem przy drodze, modlił się, śpiewając pieśni na bożne rankiem i wieczorami, a pomiarkowawszy, że nieszczęście go spotkało przez opicie się, wyrzekł się na całe życie picia, i znowu wziął się do pracy.—Ale w gospodarstwie co poradzi bez jakiéj takiéj szkapiny? Więc ciężko mu było strasznie, w robocie nieraz aż ustawał, a jednak w gospodarstwie mało co przybywało.

I tak przechodził tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, i coraz smutniéj, coraz ciężéj było już niemłodemu Przybysławowi,aż wreszcie postanowił pójść na piechotę do krewniaków swoich, co może jakie ze trzydzieści mil od niego mieszkali, i prosić o przytulisko na stare lata.—Rano więc ubrał się schludnie, przypasał szablę do boku, małe zawinięcie przerzucił na plecy, obszedł wszystkie kąty, przy każdem drzewie, przy każdym krzaku zapłakał, jak sobie przypomniał różne rzeczy z dawności, a najbardziéj w stajence, gdzie stawał białonóżka i przeżegnawszy się, pożegnawszy się z ojcowizną, ruszył drogą pod krzyż, co stał pod lasem okryty drzewami, aby jeszcze tam zdala od ludzkiego oka pomodlić się na drogę. — Kiedy się tak modli, płacze i bije w piersi, żałując za dawne grzechy, i prosząc Boga o zmiłowanie i błogosławieństwo na drogę, zda mu się usłyszeć jakby daleki szum w lesie, jakby jakie tętnienie czy dudnienie po twardéj drodze.

Nadstawił uszu tętnienie się coraz powiększało i zbliżało ku niemu, że wyraźnie, poznał iż pochodzi od wielkiéj liczby koni, co lecą gościncem.—Nie mogąc zmiarkować, coby to było, a zwyczajny napadów tatarskich, bo w owych latach od czasu do czasu, jak jacy zbójce cichaczem wpadali Tatarzy do naszéj Polski, i napaliwszy wiosek, narabowawszy i nabrawszy lu-

dzi w niewolą, uciekali potem do swego kraju; w pierwszéj chwili zdało mu się, że to pewnikiem muszą być Tatary.—Więc wydobył szablę, zrobił znak krzyża Śgo, westchnął nabożnie, i odmawiając pacierz, przygotowywał się do obrony, bo dziki ten naród nikomu nie folgował. Kiedy tak stoi myśląc, że już przyszła ostatnia jego godzina, a tu już tuż tuż dochodzi do niego szumienie, rżenie koni, tętnienie kopyt, bo Tatarzy zawsze się wielkiéj kupy trzymali; niedaleko niego mignęło się cosić między krzakami.—Spojrzał zza krzaków ostrożnie, żeby go nieprzyjaciel nie dojrzał, patrzy, a tu jakiś gniady koń bez siodła i uzdy zupełnie luźny, i rychtyk podany na jego białonóżkę, stoi na polu obrócony przodem do lasu, i łeb trzyma górą, strzyże uszami, i kiedy niekiedy cichaczem ale radośnie porżywa. Kiedy Przybysław nie mogąc pokalkulować, co to wszystko znaczy, wagując się wyjść z ukrycia, myśli i to i owo, aż tu z lasu moi ludzie, jak się nie zaczną sypać konie, wszystko luźne bez żadnéj wyprzęży, i kare, i gniade i bułane, a wszystko śliczności może po sto dukatow każdy; tak Przybysław myślał, że to sen jaki, bo wiedział, że w okolicy nikt tyla koni pięknych nie miał.—Więc przetarł oczy i het! patrzy, a tu co który koń wyleci z lasu, to przypadnie do tego najpierwszego gniadego, owącha go, zarży, przeciągnie się, i stanie wedle niego.—Dosyć moi ludzie, że Przybysław narachował cosić z pięćdziesiąt takich koni, a że już miał od młodości upodobę wielką do koni, tak wspomniawszy sobie białonóżkę i stadninę, zabaczył i o Tatarach i o swojém nieszczęściu; z radością wyskoczył zza krzaków, podszedł ku stadu wołając:—„Koniki, moje kochane, moje poczciwe koniki, a nie macie tam między sobą mego białonóżki?

Jak to Przybysław wyrzekł, w stadzie między końmi tylko się zakotłowało i ten najpierwszy gniady, co wszystkich za sobą przyprowadził, zarżał radośnie, wyskoczył ze stada i we dwóch susach, tuż stanął przy Przybysławie.—Ten spojrzał i nie chciał swoim oczom uwierzyć, bo w gniadym poznał swego ukochanego ogiera białonóżkę.—Jak go też nie złapie za szyję, jak go nie zacznie całować, to tak jakby z radości w głowie mu się co popsuło.—A gniady stał, rżał, owąchiwał swego pana, lizał go po twarzy, po rękach, a reszta koni chodziła dokoła, przypatrywała się, i jaki taki machnął ogonem, wierzgnął pośledniemi nogami, i bryznął po polu z uciechą.

Kiedy się Przybysław już nacieszył ze swoją zgubą i z gniadym powracał, ten wyskoczył naprzód, i prościutko wytuszył ku domowi, a za nim całe stado.—I wszystkie te konie zostały przy Przybysławie, bo one były nie z naszego kraju, tylko z dalekiego, za górami, za lasami, jakich nawet nie ma w naszéj Polsce. Tam to złodzieje co ukradli białonóżkę, zaprowadzili go i przedali, a że z Przybysławem tak przestawał nikiéj człowiek z człowiekiem, więc jakoś był rozumniejszy od inych koni. — Dlatego jak go wpędzili do stada, tak pomału, pomału, wszystkie go konie polubiły i kaj się ino obrócił, tak całe stado za nim, że nieprzymierzając był nad niemi nikiéj jaki starszy.—Jak więc zatęsknił do domu i do swego pana, tak wyprowadził całe stado za sobą, i przez pola, góry, lasy, ze wszystkiemi doleciał do Przybysława właśnie wtenczas, kiedy ten zabierał się w daleką drogę.—Stado te rozprzedane między panów zbogaciło go bardzo, i był potem szczęśliwy, białonóżkę jeszcze lepiéj kochał, żył potem długo, i ludzie na pamiątkę żeby się inni nauczyli, co to za poczciwość jest w koniach, i jak się należy z niemi obchodzić, zapisali to wszystko w książki; ja jak czytałem, tak wam opowiedziałem.

—„A mój Janie“— odezwał się na to jeden z gospodarzy, a to takiego konia warto ozłocić.—Bo co to znaczy takie bogactwo dać swemu gospodarzowi.“

—„Mój sąsiedzie“— odrzekł Janek —„teraz o taki drugi wypadek to trudno, bo ani stad niema takich, ani takiego poczciwego zachowania się z końmi.— Więc chociaż konia ukradną gdzie jakiemu gospodarzowi, to pewno do niego nie powróci, bo i po cóż?— Na głód na pracę, na bicie na ustawanie w robocie?—Więc kaj go zaprowadzą, tam i zostanie, bo wszędy bieda dla niego, i jużcić.

—„Dobrze to wszystko mój Janie„— odezwał się znowu Bąbała, i już sam z siebie pokpiwając, mówił daléj—„Chociaż moje szkapsko ma być tak rozumne, jak mówią sąsiad Gajda, że się z niem i on i ja rozgaduję, i powiadam mu, kaj ma iść w czyj owies, ale równie w waszéj całéj gadce to tak jest nikiéjby na prawdę człek z koniem rozgadywał się.— A przecieć o takim koniu nie słyszałem nikaj, żeby kaj był,

to więc musi być w waszéj historyi więcéj dokładki jak prawdy.

—„Prawdę mówicie, że teraz nie słychać o takim koniu, ale i takiego drugiego Przybysława nie uświadczy między ludźmi.— Więc dawniejsi ludzie że konie kochali, razem prawie z niemi jedli, pili, spali i włóczyli się za wojną po świecie, a broń Boże nie dali mu zrobić żadnéj krzywdy, to pomału poznali, co koń chce powiedzieć, kiedy zarży, zakwiczy, parsknie, bryznie poślednemi nogami; boć kiedy mu Bóg dał takie różne sposoby, to widać, że i on czuje w sobie, co go cieszy, smuci, boli lub gniewa, kiedy umie to wszystko w głosie wydać.— My tego wszystkiego nie rozumiemy, bo nie przestajemy tak z końmi jak dawniejsi ludzie i ino rozumiemy, że kiedy koń stuli uszy, zabłyszczy oczami i wyciąga mordę ku nam, że nas chce ukąsić albo uderzyć kopytami, bośmy warci tego, bo się z nim obchodzimy jak nie z boskiém stworzeniem; więc nas lubić nie ma za co, ani tak bardzo o nas pamiętać.— Żebyście jednak poznali, ze natura w szkapskach zawdy jedna, i ten sam rozum i poczciwość jest w nich dzisiaj, co i dawniéj, więc wam któréj niedzieli opowiem o mojéj klaczy Wachnie, to się najlepiéj przekonacie że w gadce mojéj żadnego nie ma zmyślenia i że koń to tak jest poczciwe, i rozumne stworzenie, że się dosyć o nim nagadać nie można.

—„No to zostańcie z Bogiem“—rzekła gromada ludzi, zabierając się do odejścia— „ino pamiętajcie Janie! nie zabaczyć o swojem przyrzeczeniu.“

—„Dobrze, dobrze— idźcie z Bogiem moi ludzie“— odrzekł Jan, i wyszedł zobaczyć konie, które prowadził parobek z pastwiska.

—

Poczciwy Adaś.

Około godziny dwunastéj rano przechodziłem przez bramę wjazdową, przy Wielkim teatrze. W miejscu, gdzie jest ustawiony stragan z owocami, przy którym w téj chwili nie było nikogo, spotkałem dwóch chłopczyków, w szaraczkowych płaszczykach i czarnych czapeczkach, schludnie i starannie odzianych. Obaj mieli zawieszone przez plecy skórzane teczki, i widocznie wracali ze szkoły, bo mina ich była wesoła i raźna, a nadzieja zbliżającego się obiadu po szkolnych mozołach, objawiała się w żywych podskokach zwykłéj wesołości młodzieńczego wieku. Ładne ich twarzyczki i różnica wzrostu pokazywały, iż starszy mógł mieć lat około jedenastu, młodszy dziesięć lub dziewięć.— Starszy, rzuciwszy okiem na opuszczony bez dozoru stragan, zwolnił spiesznego kroku i zatrzymał się, mówiąc: idź Adasiu, ja ciebie dopędzę, tylko bucik sobie poprawię; i gdy Adaś postąpił kilka kroków naprzód, on nachyliwszy się za filarem obok straganu przepełnionego prześlicznemi fruktami, pozornie dla poprawienia obuwia, podniósł się nagle i korzystając z nieobecności straganiarki, z widocznym przestrachem na twarzy, jeszcze nieprzywykłéj do pokrywania złego, zręcznie pochwycił jabłko z przetaka i pomknął jak strzała wypuszczona z łuku.— Lecz w chwili nieprawego zerwania owocu zakazanego, młodszy odwrócił głowę, i widział niecny postępek swego brata.—W téj chwili, zapłoniła się twarzyczka poczciwego Adasia, rumieniec dziewiczego wstydu ją oblał. Przestraszony, zawołał z uniesieniem: Jasiu cóżeś uczynił? wszak to cudza własność— wstydź się! hańbisz siebie, — to niegodnie! popełniłeś kradzież— wróć i połóż to natychmiast na swoje miejsce.— Fraszka, odrzekł Jaś, spokojnie i zimno; Pan Bóg dla wszystkich rodzi owoce; a przytem oni je teraz tak drogo sprzedają, że za chwilę przyjdzie jaki bogaty pan i zapłaci gruszkę po złotówce;sam wczoraj widziałem,jak jakiś elegant za pół kopy gruszek dał cztery ruble;cóż tam jedno jabłko znaczy?—Ach! jak źle mówisz Jasiu! gdyby każdy przechodzący był tobie podobny, za godzinę stragan byłby pusty, a przekupka straciłaby może całe swoje mienie. Wszak słyszałeś jak stara Marcinowa roznosząca obwarzanki, mówiła, że wszystkiego ma pięć złotych, od których zarobek, przez dziesięć lat już ją żywi; że gdyby jéj kto skradł ten zarobek, musiałaby żebrać, bo stare ręce do innéj pracy już niezdatne. Jasiu! miéj sumienie, idź i połóż na przetak jabłko,— proszę cię mój drogi, gdyż inaczéj, opowiem wszystko ojcu.— Sprobuj tylko, odrzekł Jaś, ściskając pięście; to wiesz co cię czeka. Jasiu! odnieś, bo zawołam straganiarkę; jakóż w téj chwili wyszła z przyległego pokoiku frukciarka! Adaś z pośpiechem zawołał: Pani! Pani! a Jaś pędem błyskawicy pomknął pod filary obok cukierni, i znikł z oczów, zostawiwszy pomięszanego Adasia.

Słysząc całą tę rozmowę, przejęty byłem

ciekawością, jak poczciwy Adaś poradzi sobie w swoim szlachetnym kłopocie. Nieoceniony chłopczyna z miną wielce zafrasowaną, zbliżył się do straganu, z zapytaniem o cenę jabłek, i dowiedział się, że sztuka kosztowała sześć groszy. „A czy nie można pięć?—rzekł— bo więcéj nie mam.“ — „Niech kawaler bierze — odpowiedziała straganiarka. — Chłopaczek wyjął z kieszeni chusteczkę, rozwiązał starannie w rogu zawiązany węzełek, w którym ukrywał się skromny i samotny piątaczek, i cały swój skarb oddał właścicielce owoców; nie biorąc zaś jabłka, odszedł. Kawalerze! kawalerze! a jabłuszko? zawołała przekupka. O nie, odrzekł drżący Adaś, mój brat już je wziął pod nieobecność Pani i pobiegł naprzód, mnie zaś zostawił, żebym pani zapłacił. A może on wziął więcéj jak jedno? O nie pani, tylko jedno.

Widząc to uczciwe serce chłopczyka, zbliżyłem się do niego i zapytałem: powiedz mi moje dziecię, jak się nazywasz? Adaś, odrzekł zapytany,—A nazwisko? Nazwiska nie mogę powiedzeć.—Dlaczego?— Widziałem, że pan byłeś świadkiem tego postępku mego brata, to samo nazwisko nosi nasz dobry ojciec, mógłbyś Pan o nas wszystkich mieć złe wywyobrażenie, a tu tylko Jaś winien, który się z czasem poprawi, bo co dzień oto modlę się do Boga. Szanuję twoję tajemnicę moje dziecię, ale powiedz mi, czém się twój ojciec trudni?—Szewckiem rzemiosłem.— W przeszłym roku, podobało się Panu Bogu, powołać do nieba naszą najlepszą matkę, ojciec długo płakał i myśmy płakali, a późniéj uprosił ciocię na gospodynię do warsztatu.

Za to, że jesteś taki poczciwy, chodź do cukierni, kupię ci ciastek. Albożto proszę pana, za poczciwość trzeba płacić? czy to można gdzie kupić poczciwości za pieniądze? a przytem, gdyby ojciec zobaczył ciastka, zarazby się cały figiel Jasia wydał, i dostałby zasłużoną zapłatę. Ojciecby zapytał, zkąd chłopcze dostałeś ciastek? i musiałbym całą rzecz wyśpiewać. Schowasz je w buzię, to się sekret nie wyda. O! i tego nie mogę, od czasu jak Jaś objadł się surowéj brukwi u swojéj chrzestnéj matki ogrodniczki, i tak zachorował, że ledwie nie umarł, ojciec zabronił nam jeść cokolwiek bez jego wiedzy. Ale przepraszam pana, nie mam czasu, trzeba się spieszyć; jeszcze przed obiadem muszę nastrugać szpilek do butów i nakręcić dratew, żeby ojcu ulżyć w téj ciężkiéj pracy, nad którą sam nie mając czeladzi, dnie i noce przesiaduje, żeby nas wyżywić.

Szczęśliwy ojcze! pomyślałem sobie; takiego syna mógłby ci niejeden bardzo pozazdrościć.

Mądry Rabin.

Wytoczyła się raz sprawa przed rabina bardzo trudna do należytego osądzenia.— Do domu zajezdnego w Warszawie przybył w noc późną podróżny starozakonny, który nie ufając ryglom u drzwi, oddał gospodarzowi także starozakonnemu 3,000 zł. czyli rs. 450 do zachowania. Nazajutrz, mając zamiar ułatwiać interesa, poprosił gospodarza o wydanie złożonych u niego pieniędzy; lecz że te bez świadków powierzone mu były, zatém wiedziony chciwością cudzéj własności, zaparł się, aby miał w składzie jakowe pieniądze podróżnego.

Gdy prośby a potem i groźby nie zmiękczyły niegodziwego człowieka, podróżny wytoczył te sprawę przed Rabina. Ten wysłuchawszy twierdzeń stron obu, i przyjąwszy od gospodarza przysięgę na okoliczność, że nie ma u siebie pieniędzy podróżnego, nie poprzestał jeszcze na tém, albowiem mając wiele do czynienia z różnymi ludźmi, umiał z wyrazu twarzy dociekać ich myśli: a widząc u gospodarza zegarek, prosił, aby mu go pozwolił na chwilę. Potem nic nie mówiąc, wyszedł do służącego i kazał mu pójść z tym zegarkiem do żony gospodarza zajazdu, oświadczyć, że mąż jéj polecił wydać złożone u nich pieniądze podróżnego na znak zaś przesyła jéj swój zegarek.

Służący wypełnił rozkaz, a żona poznawszy zegarek, i nie spodziewając się, sądziła, że w saméj rzeczy mąż przestraszony przysięgą, kazał wydać nieprawnie zatrzymane pieniądze, i wydała je posłańcowi.

Gdy tenże z niemi nadszedł, a podróżny dla lepszego dowodu wymienił nawet gatunek pieniędzy, gospodarz zbladł z przestrachu; Rabin zaś oddał pieniądze prawemu ich właścicielowi, a gospodarza za oszustwo i krzywoprzysięstwo oddał sądom dla ukarania.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 2 (14) listopada 1856 r.— Starszy cenzor, *P. Sobieszczański.*